

EUGENIUSZ SZUMAKOWICZ

(Kraków)

Z FENOMENOLOGII ARCHITEKTURY

Roman Ingarden w swoich dociekaniach i analizach fenomenologicznych wiele uwagi poświęcił estetyce, głównie estetycznej strukturze dzieła literackiego, a także dzieła malarskiego. Znane jest również jego studium *O dziele architektury*, w szczególności w środowisku architektów czy teoretyków architektury, i tam spotyka się niejednokrotnie z zarzutem nieuwzględnienia współczesnych teorii i trendów w pojęciowych podstawach projektowania architektonicznego. Tym wątkiem badawczym nie zamierzam się jednak zajmować w niniejszym artykule, pozostawiając go teoretycznie i może filozoficznie uwrażliwionym architektom.

Jest jednakowoż inne miejsce w dorobku Ingardena, które z dziełem architektonicznym ma związek, chociaż o architekturze nie ma tam w ogóle mowy. Chodzi o związek potencjalny i kontekst czysto ontologiczny. Mam na myśli ostatni, czternasty rozdział drugiego tomu *Sporu o istnienie świata* zatytułowany: *Zagadnienie tożsamości czasowo określonego przedmiotu*. W transpozycji w kierunku teorii architektury i konserwacji zabytków można by zaproponować temat interdyscyplinarny: „Zagadnienie tożsamości obiektów trwających w czasie ze szczególnym uwzględnieniem obiektów architektonicznych”. Taki mógłby być i tytuł niniejszego artykułu. Woląłem jednak tytuł ogólniejszy i swobodniejszy, żeby zasygnalizować otwartość na specyfikę myślenia architektów.

Pewien matematyk powiedział kiedyś, że dobrą zasadą pisania książek nt. abstrakcyjnej matematyki jest przestrzeganie postulatu: „General should be embodied in the concrete” („Ogólność powinna być ucieleśniona w konkrecie”). Chciałbym ten postulat metodologiczno-

-metodyczny zastosować także do tematyki niniejszych rozważań, tym bardziej że koresponduje on z postulatem epistemicznym fenomenologów (Husserl, Ingarden) „zaczynania od rzeczy, od doświadczenia”.

Zacznijmy więc nie ogólnie, nie abstrakcyjnie, lecz konkretnie. Historyczną inspiracją niech będzie słynne Heraklitowe pytanie: *Czy można dwa razy wstąpić do tej samej rzeki? – z sugestią odpowiedzi, że nie można.* Ontologia powszechnej zmienności może być rozwijana w sposób teoretycznie niezwykle wyrafinowany. Można bowiem postulować, że nie tylko do ewidentnie zmiennej, bo płynnej rzeki nie można wstąpić dwukrotnie (ani więcej razy), lecz i do nieruchomego zbiornika, np. Czarnego Stawu Gąsienicowego w Tatrach, nie można wstąpić więcej niż jeden raz! Z innej strony, patrząc na kluczowe „wstępowanie”, można by zauważyć, że... nawet jeden raz nie sposób wstąpić do rzeki czy nawet nieruchomego, „martwego” stawu, albowiem wstępowanie nie jest momentem, lecz procesem, zatem w drugiej części tegoż procesu wstępowania obiekt wstępowania jest już inny. W niniejszym studium nie podążymy jednak tak spekulatywnym tropem badawczym czy analitycznym. Chcemy bowiem zbliżyć filozofię do życia, do świata „normalnych, zwykłych” ludzi.

Niech punktem wyjścia będzie parafraza Heraklitowego pytania: *Czy można dwa razy przejść tą samą ulicą Sławkowską w Krakowie?* No i oczywiście moglibyśmy powtórzyć to samo „dzielenie pojęć na czworo”, które odnosiło się do frazy Heraklita. Rzecz jasna, nie będziemy tego robić, lecz powiemy z największą mocą asercji, na jaką nas stać: *Możemy dwa razy, trzy razy, tysiąc razy przejść tą samą ulicą Sławkowską!* I robimy to na co dzień, nawet wtedy gdy na skutek remontów zmieniają się elewacje kamienic stojących przy tej ulicy. Jest to odpowiedź w duchu filozofii zdrowego rozsądku, filozofii pragmatycznej. Proszę zwrócić uwagę, że zadaniem filozofii głębszej (ale nie „za głębokiej”), filozofii fenomenologicznej, jest nie odpowiedź na wyjściowe pytanie, lecz uzasadnienie narzucającej się odpowiedzi zdroworozsądkowej, której spekulatywne kwestionowanie naraziłoby całą filozofię na miano myślenia kuriozalnego z punktu widzenia przekonani przygniatającej większości członków społeczeństwa. Autor tych rozważań spróbuje zrealizować ten cel eksplanacyjny, na miarę swoich możliwości, w dalszej części artykułu. Tymczasem, zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią, wróćmy do poszerzenia bazy empirycznej dla rozstrzygnięcia problemu identyfikacji i tożsamości obiektów architektonicznych. Czyli... spacerujmy dalej krakowską ulicą Sławkowską, żeby dojść do historycznego, co najmniej w skali europejskiej, Rynku Głównego. Czy

to jest ten sam Rynek, po którym stąpali królowa Bona i Zygmunt Stary? Zapytajmy też bardziej technicznie: czy na powierzchni rynkowych chodników, deptaków lub jezdni można dzisiaj zidentyfikować choćby jeden kamień będący tam w czasach wspomnianych królów, to jest w XVI wieku (przykładowo)?

Istotnym, moim zdaniem, wymogiem jest, by kamień był ponad powierzchnią „zerową” – żeby przynajmniej potencjalnie (ale w sposób pewny!) znajdował się w zasięgu ludzkiej percepcji. Chodzi o to, żeby zajmować się wyłącznie przedmiotami realnymi, efektywnie doświadczalnymi, nie zaś jakimiś „złotymi pociągami”. Zauważmy porównawczo, iż obiekty mikroświata: elektrony, protony, neutrina, czy nawet cząstki Higgosa, spełniają ten warunek. Wracając do makroświata, do Rynku Głównego w Krakowie, wiadomo, że ma on część podziemną, urządzoną swego czasu jako muzeum, tłumnie odwiedzane przez turystów krajowych, a chyba jeszcze tłumniej przez zagranicznych. Tam są niewątpliwie liczne przedmioty z dawnych czasów. Jednak to nie jest Rynek Główny w Krakowie w naturalnym, intencjonalnym sensie. Potrzebny jest „wygląd”, a podziemne muzeum pod Sukiennicami wyglądu nie ma, nie funkcjonuje w codziennej świadomości mieszkańców Krakowa. To jest podobnie jak z konkretnym człowiekiem, na którego składają się jego postura, wygląd, zwłaszcza twarzy, gesty, mowa i wiele innych cech czy składników, ale nie nerka czy wątroba; człowieka nie charakteryzujemy poprzez jego nerkę czy wątrobę. Skoncentrujmy się ponownie na Rynku nadziemnym, czyli właściwym, i stwierdźmy, że jest prawdopodobne, iż na tym Rynku dzisiaj nie ma ani jednego kamienia, ani jednego atomu z czasów, kiedy chodzili po nim królowa Bona i Zygmunt Stary. A mimo to czujemy, że jest to „ten sam” krakowski Rynek. Dlaczego?

Oddajmy głos Ingardenowi:

W wielu wypadkach jest jednak bardzo trudno ocenić, jak daleko może iść wymiana materiału, z którego przedmiot jest zbudowany, jeśli ma on pozostać ten sam. Czy np. ów parasol profesorski byłby jeszcze ten sam, co ów niegdyś kupiony parasol, gdyby pozostała z niego jeszcze np. rączka, ale wszystko inne zostało wymienione? Wydaje się to wątpliwe, a przynajmniej trudno znaleźć jakąś ogólną zasadę, która pozwoliłaby nam tę kwestię rozstrzygnąć¹.

Jednak nieco wcześniej czytamy:

Ta „tożsamość” przedmiotu trwającego w czasie (rzeczy, istoty żywej, człowieka) jest czymś pierwotnym, czego niepodobna definiować. Ale jeżeli staramy się oddać

¹ R. Ingarden, *Spór o istnienie świata*, t. 2, cz. 1, PWN Warszawa 1987, s. 433.

choćby w przybliżeniu słowami to, co jest nam dane w intuicji, *jaką uzyskujemy w obcowaniu z danym przedmiotem*, to nasuwa się nam następujące powiedzenie: To, że przedmiot, który trwa w czasie, jest „jeden i ten sam” przez cały czas swojego istnienia, nie znaczy nic innego jak tylko, że od pierwszej chwili swego istnienia wciąż pozostaje sobą, bez względu na wszystkie zmiany jakie się w nim «ewentualnie» dokonują, «i bez względu na upływ czasu, w którym trwa» – *aż z jakiegoś powodu przestanie istnieć*. Przedmiot pozostaje sobą, a nie staje się jakimś drugim przedmiotem. To jest w ogóle wykluczone: nie można stać się drugim przedmiotem, pozostając sobą. Trzeba by w ogóle przestać być sobą, ale w takim razie trzeba w ogóle przestać istnieć, a tym samym nie można stać się czymś innym, drugim. Natomiast dopóki jest się sobą, dopóty nie jest się niczym innym ani niepodobna się niczym innym stać. W przeciwstawieniu do procesów przedmiot trwający w czasie nie „składa się” z tego, czym jest w poszczególnych chwilach swego istnienia (nie składa się z faz jak proces!), lecz jest wciąż jeden i ten sam przesuwając się tylko całym sobą w coraz to nową fazę czasu *aż ewentualnie w pewnej terażniejszości przestanie istnieć*. O ile proces „przedłuża się” w czasie, rozciągając się – dopóki się rozgrywa – coraz nową swą fazą na coraz nowy okres czasu, o tyle nie można tego samego powiedzieć o przedmiocie trwającym w czasie. Ten jest wciąż jeden i ten sam, mijając, „przechodząc” przez poszczególne chwile².

Przytoczyliśmy ten fragment, żeby zilustrować styl wywodów Ingardena, ale przede wszystkim dlatego, że modelowo pasuje on do naszego paradygmatycznego przypadku ulicy Sławkowskiej i Rynku jako przedmiotu (obiektu) istniejącego, trwającego w czasie.

Problematyka tożsamości przedmiotów pojawia się w przeróżnych kontekstach, np. w prawniczym (filozofia prawa). Autor wykładu paryskiego, w ramach słynnego seminarium metodologicznego, które od dziesiątków lat odbywa się w École Normale Supérieure, Ugo Berni Canani, zaczyna swój esej pt. *Règles et entités juridiques* (Prawidła i byty prawnicze) słowami:

W swoim „Żywocie Tezeusza” Plutarch mówi o statku wielokrotnie reperowanym do tego stopnia, że nie było w nim już żadnego materiału, który był w statku na początku, i stwierdza, że kwestia „czy statek po takich reperacjach, transformacjach pozostaje, czy nie pozostaje wciąż ten sam” długo zajmowała filozofów³.

Jak widać, zajmuje po dziś dzień, czasem w konwencji potocznego filozofowania. Przytoczmy podhalańską anegdotę o siekierce dziadka: Góralowi złamało się stylisko (trzonek) siekierki, więc wymienił je na nowe. Za jakiś czas zniszczyła się, trwale stępiła część metalowa, więc ją też wymienił na nową. Na pytanie, czy dalej jest to ta sama dziadka siekierka, spontanicznie i intuicyjnie chciałoby się wykrzyknąć: „Oczywiście, że ta sama!”

² Tamże, s. 423.

³ *Seminaire de Philosophie et Mathématiques*, Paryż 1995, t. 5, przeł. E. Sz.

Oba fragmenty z Ingardena oraz następne przykłady skłaniają do skonstatowania dwóch ontologicznych perspektyw rozstrzygnięcia kwestii tożsamości w warunkach zmienności: perspektywy *aprioryczno-asertywnej* i *empiryczno-materialowej*. Ta ostatnia bliska jest konserwatorom zabytków decydującym z urzędu o finansowaniu z budżetu państwa takich czy innych obiektów. Oni chcą mieć „twarde” uzasadnienie „obiektywności” decyzji finansowej, żeby uniknąć społecznego zarzutu marnowania środków publicznych z powodu jakichś subiektywnych fantasmagorii. Z drugiej strony postaram się dalej pokazać, że i perspektywa aprioryczno-asertywna ma doniosłe znaczenie kulturotwórcze.

Wróćmy do przykładu Rynku Głównego w Krakowie. Co zatem stanowi podstawę, zasadę jego tożsamości? Co pozwala nam z przekonaniem mówić, że chodzimy po tym samym Rynku co królowa Bona i Zygmunt Stary? Już wiemy, że nie materiał budowlany. Może charakterystyczny kształt Rynku przypominający, w odpowiedniej skali, lutnię? Ten kształt i wizerunek może tkwić w sposób trwały w pamięci i świadomości nie tylko krakowian, ale i Europejczyków licznie odwiedzających historyczną stolicę Polski. To jest niewątpliwie jakiś element tożsamości tego miejsca. Nie mniej ważny wydaje się aspekt geodezyjnej tożsamości miejsca obiektu architektonicznego (jako nieruchomości!). Zilustruję go pewnym przykładem historycznym. Otóż przez wieki i dziesięciolecia istniał w Krakowie jeszcze piąty kopiec (obok czterech bardzo dobrze znanych), tzw. kopiec Esterki (oblubienicy króla Kazimierza Wielkiego). Mimo żydowskiego pochodzenia patronki nie został on zlikwidowany nawet przez hitlerowców w okresie okupacji (zapewne również z powodu jego zaniedbanego wyglądu i otoczenia, jakim były relikty dawnego królewskiego ogrodu w podkrakowskim Łobzowie). Dopiero władze PRL położyły kres istnieniu kopca Esterki. Na Wydziale Architektury Politechniki Krakowskiej po dziś dzień opowiada się anegdotę, jak to pewien profesor architektury zauważył brak kopca na dawnym miejscu i, zaniepokojony, udał się do wojskowego komendanta tego terenu z pytaniem: „Panie pułkowniku, co się stało z kopcem?”. Odpowiedź pułkownika była rozbijająca: „Panie profesorze, niech pan powie, gdzie pan chce mieć ten kopiec. Moi żołnierze przez noc go panu usypią”.

Tak oczywiście nie można robić, gdy przedmiotem troski jest tożsamość historycznego obiektu. Sprawa ma poniekąd ciąg dalszy. Otóż pewne środowiska architektoniczno-magistrackie przymierzają się do odtworzenia kopca Esterki w innym miejscu, planując działać nieco

w stylu owego beztroskiego pułkownika z lat 50. ubiegłego wieku. Wizualnie ta zmiana mogłaby być nawet niezauważalna, zwłaszcza dla dzisiejszego, niedokształconego historycznie przechodnia. Jednak jest praca naukowa geodetów z AGH, która bardzo precyzyjnie ustala historyczną lokalizację kopca w północnej części bieżni obecnie znajdującego się tam stadionu sportowego. Jeśli teraz władze miasta zgodziłyby się na usypanie nowego kopca Esterki w innym, choćby nawet i nieodległym od oryginalnego, miejscu, to ktoś, prędzej czy później, zauważyłby nieautentyczność, czyli fałszywość lokalizacji. W rezultacie taki „nowokopiec” nie miałby szans na miano kopca Esterki, choćby jakoś tożsamego z kopcem historycznym. Natomiast kopiec usypany współcześnie dokładnie w tym samym miejscu ma taką szansę! Obok autentyczności miejsca potrzebna jest jeszcze siła intencji świadomościowej mieszkańców Krakowa, nad czym należałoby popracować. Zaś nowy kopiec na fałszywym miejscu prędzej czy później określony byłby mianem „pseudokopca Esterki” i kompromitowałby inicjatorów takiego przedsięwzięcia. To już lepiej postawić tablicę z obrazem starożytnego kopca i informacją, gdzie dokładnie on stał, skoro „chwilowo” nie można go usypać w miejscu historycznym. Wypada w tym momencie zauważyć, iż ontologia fenomenologiczna, którą tu stosujemy do konkretnej sytuacji i konkretnego problemu przedłużenia tożsamości obiektu architektonicznego, może odegrać istotną i efektywną rolę w praktyce decyzji konserwatorskich oraz decyzji z zakresu polityki samorządowej miasta, a nawet, w przypadku obiektów o znaczeniu ogólnokrajowym czy ogólnonarodowym, polityki ogólnopaństwowej (na szczeblu ministerialnym czy prezydenckim). Tę istotność wymiaru siły intencjonalności (nad którą można pracować i którą można rozwijać, kierując się priorytetami aksjologicznymi), przy jednoczesnej niewystarczalności aspektu materialowego, dobrze ilustrował całkiem niedawny przykład remontowanego kopca Kościuszki, którego fizycznie „nie było” w trzech czwartych. Jednak intencjonalnie cały czas był on w całości!

W tym miejscu warto jeszcze zwrócić uwagę na skrajną pod względem może nie tylko materialowym pragmatykę konserwatorską w Japonii. Otóż w Kraju Kwitnącej Wiśni niszczone zabytki są po prostu burzone, a następnie dokładnie rekonstruowane. Zabytek „po japońsku” to jakby algorytm bardzo dokładnej rekonstrukcji danego obiektu. Informację tę zawdzięczam filozofowi kultury Leszkowi Sosnowskiemu, który przez dłuższy czas przebywał w Japonii i obserwował obyczaje tego kraju.

Przenieśmy się z Krakowa do Warszawy. W wyniku działań wojennych to największe miasto Polski uległo totalnej katastrofie ludnościowej i architektoniczno-budowlanej. Powstało pytanie: czy powojenną i dzisiejszą Warszawę można utożsamiać z Warszawą przedwojenną i wcześniejszą? Znany polski pisarz Gustaw Herling-Grudziński, który do odbudowanej Warszawy wrócił dopiero po upadku PRL, stwierdził, kierując się pierwszym wrażeniem, że tego miasta nie poznaje! Poza może fragmentami Krakowskiego Przedmieścia. Zatem czy Warszawa z Pałacem Kultury i Nauki i Placem Defilad (który przed wojną był terenem zabudowanym tradycyjnymi kamienicami) to „ta sama” Warszawa co choćby z lat 1918–1944? Myślę, że Gustaw Herling-Grudziński, w miarę postępującej refleksji, zmieniał zdanie – w wyniku zwiększania się „siły intencji utożsamiającej” generowanej przez aktualny kontekst społeczno-kulturowy.

Przenieśmy się teraz w szczególne miejsce Warszawy, na tamtejszy Zamek Królewski. Znajduje się w nim duża sala, o której napis informacyjny stwierdza, iż „w niej to uchwalono 3 maja 1791 roku pierwszą polską konstytucję państwową”. U współczesnego człowieka mogą pojawić się wątpliwości. Jak to, przecież ta sala została wraz z całym zamkiem zburzona w 1944 roku! Z drugiej jednak strony, jeśli została zrekonstruowana dokładnie na tym samym miejscu, wyznaczonym geodezyjnie, jeśli została szczegółowo zrekonstruowana, z uwzględnieniem detali, to jest już dobra podstawa, żeby zadziałał społeczno-kulturowo-edukacyjny proces wzmacniania intencji utożsamiającej (konstituowanie odpowiednich sensów historyczno-kulturowych). To jest oczywiście możliwość otwarta, ale możliwość realna, wykonalna. Zaś postawienie sprawy i problemu na gruncie i w ramach infrastruktury pojęciowej ontologii fenomenologicznej stwarza sprzyjający „klimat logiczny” dla tego typu przedsięwzięcia.

Powróćmy do Warszawy jako całości, z kontrowersyjnym Pałacem Kultury i Placem Defilad. Podobnie jak w wyżej wspomnianych przypadkach skłonny jestem tu stwierdzić, że nie trzeba ich wyburzać, żeby Warszawa była Warszawą, jak tego i dzisiaj chcą pewni szaleńcy. Te miejsca mogą się „zabliźnić” w ogólnospołecznym procesie intencjonalnego umacniania i pogłębiania tożsamości warszawskiej metropolii. Nowoczesne wielkie miasta muszą się zmieniać. Pałac Kultury jest zaś bardzo dobrą budowlą w sensie standardów światowych. W Moskwie jest kilka obiektów podobnego typu (choćby gmach główny Uniwersytetu Moskiewskiego im. Łomonosowa), ale sami Rosjanie twierdzą, że warszawski pałac jest najzgrabniejszy, najestetyczniejszy. Ponadto jest

on generalnie wzorowany na wysokościowej architekturze nowojorskiej, mieści się w tej samej kategorii co Empire State Building. Zaryzykowałbym twierdzenie, że współczesnej Warszawy nie sposób sobie wyobrazić bez tego „nowowarszawskiego” pałacu z placem, że jakoś wrósł on organicznie we współczesny układ urbanistyczno-architektoniczny metropolii. Co więcej, ewentualna rekonstrukcja przedwojennej zabudowy na Placu Defilad byłaby czymś sztucznym, bynajmniej nie sprzyjającym umacnianiu poczucia tożsamości miasta. Zwłaszcza że zaledwie kilkanaście procent obecnej ludności miasta wywodzi się z populacji przedwojennej.

Pozostajemy jeszcze w Warszawie, ale tym razem daleko od centrum. Mam na myśli zespół pałacowo-ogrodowy Wilanowa oraz Łazienki Królewskie w Warszawie. Te obiekty ulegały historycznie dużym zmianom, też były zrujnowane w wyniku działań wojennych w ostatnich kilkunastu miesiącach II wojny światowej. Nie ma jednak wątpliwości co do tożsamości tych historycznych przestrzeni. W tym momencie wróćmy do historycznego Krakowa wiedzeni tropem pewnej analogii. Niech metodologicznym punktem wyjścia będzie tutaj konferencja naukowa zorganizowana przez architektów ogrodowych z Politechniki Krakowskiej we współpracy z Uniwersytetem Rolniczym w Krakowie. Temat przewodni konferencji sprzed nieco ponad roku brzmiał: *Współczesne zagrożenia ogrodów historycznych*. O konferencji dowiedziałem się *post fatum*, ale jeśli byłbym, założmy, jej uczestnikiem, to wygłosiłbym na niej referat pt. *Współczesne zagrożenia Królewskiego Ogrodu w Łobzowie (kiedyś podkrakowskiego, dzisiaj – należącego prawie do centrum miasta)*.

Ktoś mógłby nawet podskoczyć albo wykrzyknąć ze zdziwienia: „To chyba jakaś fantasmagoria, tego ogrodu już dawno nie ma!”. Jednakowoż spokojna analiza i refleksja, jak uważam, mogłyby ukazać potoczną naiwność czy nawet prymitywność takiej konstatacji. Podążmy za współczesną przewodniczką po Wawelu, a dokładniej po tej części wawelskich zabytków, które obejmują otwarty niedawno, całkowicie zrekonstruowany ogród królowej Bony. Zwiedzający mogą usłyszeć: „Ogród Bony to był mały ogród królewski, wielki ogród królewski znajdował się w Łobzowie, obok letniej rezydencji polskich królów. Został on znacznie zniszczony w czasie potopu szwedzkiego, a następnie ulegał dalszej degradacji”. Można chyba powiedzieć, że ostatni akt tej degradacji dokonał się w 1953 roku z chwilą zniwelowania kopca Esterki (o którym była już mowa wyżej), który stanowił integralną część ogrodu, jak pokazuje to chyba najwybitniejszy znawca tematu

Janusz Bogdanowski w swojej monografii *Królewski ogród na Łobzowie*⁴ (widać to już na ilustracji zamieszczonej na okładce).

Z filozoficznego punktu widzenia zasadnicze pytanie ma charakter ontologiczny: czy ogród królewski w Łobzowie, po którym spacerowali m.in. Stefan Batory, Zygmunt III Waza czy Jan III Sobieski (przed i po odsieczy wiedeńskiej), gdzie tego ostatniego wyczekiwała królowa Marysienka, po prostu istnieje, czy też definitywnie nie istnieje? Nie widać go wprawdzie, ale może jest ukryty pod powierzchnią dzisiejszego stadionu WKS „Wawel”, gdzie znajdują się jeszcze relikty tzw. cegły palcówki z ogrodzenia ufundowanego w końcu XVI wieku przez Stefana Batorego (hipoteza historyka architektury Kazimierza Kuśnierza). A może inne jeszcze relikty? Sugeruję ontyczny status „istnienia ukrytego” (pod płytą stadionu sportowego będącego w stanie częściowej ruiny), zdając sobie sprawę, że termin wymaga bardziej szczegółowego omówienia. W związku z tym nasuwa się pytanie: ile zależy tutaj od stanu świadomości społeczno-historycznej mieszkańców Krakowa? Może ludzie nic albo niewiele wiedzą o historycznym, „ukrytym” ogrodzie królewskim w krakowskim Łobzowie, o „krakowskim Wilanowie” („Wilanowie przed Wilanowem”!)? Może jeśliby wiedzieli więcej albo jeśli się dowiedzą więcej, to status „krakowskiego Wilanowa”, czyli historycznego, królewskiego, zabytkowego Łobzowa się zmieni? Sprawa może okazać się dynamiczna (ontodynamiczna), a na pewno jest otwarta. Na razie tyle można zrobić w aspekcie filozoficzno-historycznym w tej konkretnej sprawie.

Zanim przejdziemy do jakże potrzebnych uogólnień i wniosków teoretycznych, rozważmy jeszcze trzy przykłady. Weźmy pod uwagę ateński Akropol, budowany jeszcze przez ojca Sokratesa, kamieniarza, i zapytajmy: czy dzisiejszy Akropol (który *notabene* był natchnieniem Wyspiańskiego w jego wizjach architektonicznych Wawelu) można uznać za łącznik czasowy i duchowy z klasyczną Grecją Temistoklesa, Sokratesa, Platona i innych? Ogólnie (ogólnikowo?) i symbolicznie, na pewno tak. Refleksja przywołuje jednak zarzut powierzchowności. Po pierwsze, jest to przecież ruina, na skutek wielkiej eksplozji materiałów wybuchowych magazynowanych w Partenonie przez okupujących Grecję Turków i zapalonych przez racę wystrzeloną z okrętu ówczesnej potęgi morskiej, Republiki Weneckiej, walczącej z imperium osmańskim. Działo się to jeszcze pod koniec XVII wieku. Po wtóre, białe kolumny doryckie, jońskie czy korynckie, które dla większości

⁴ Wydawnictwo Vademecum, Kraków 2001.

ludzi są nieomal symbolem helleńskiej starożytności, nie były wcale białe, kiedy je stawiano. Przypomina o tym nazwa siedziby stoików w Atenach: *stoa poikilé* – kolorowa brama (portyk). A więc wyglądało to zupełnie odmiennie niż dzisiaj. Historyczna intencja utwierdziła jednak to zafalszowanie stanu faktycznego jako symbol identyfikujący (może podobnie jak Pałac Kultury jako symbol Warszawy?!). Henri Bergson mawiał, że nie wystarczy zobaczyć tysiąc fotografii jakiegoś ważnego miejsca, żeby to miejsce poznać naprawdę – trzeba jeszcze w tym miejscu być, żeby bezpośrednio, percepcyjnie i intuicyjnie „wyczuć ducha tego miejsca (*genii loci*)”. Zatem bywalcom dzisiejszych Aten zadaję pytanie: czy na Akropolu i wokół niego, w okolicach Partenonu – między kolumnami i z jakiejś perspektywy, jest jeszcze „coś” z Aten Sokratesa? Choćby coś bardzo małego, jednak uchwytne.

Przykład drugi, również starożytny: syryjska Palmira, przebogata w zabytki starożytności różnych dawnych epok, dzisiaj dewastowana przez islamskich terrorystów. O zabytkach w Syrii czy Libii wiadomo jest (czy może już było?), że lepiej zachowały się niż zabytki samej Grecji. Być może jednak zostaną zniszczone na naszych oczach. W internetowej dyskusji próbowałem „ratować” sytuację koncepcją totalnej odbudowy – to znaczy nie tylko odtworzenia tego, co zniszczyli barbarzyńscy terroryści, ale odtworzenia budowli takiej, jaką była ona np. w III wieku n.e. (sic!). Niezwykle kosztowna inwestycja, ale możliwa i technicznie, i ekonomicznie. Wszystko to, żeby zrekompensować straty zadawane przez współczesnych barbarzyńców. Moja internetowa rozmówczyni na taką propozycję odpowiedziała jednak sceptycznie, a nawet pesymistycznie: „Za taką rekonstrukcją, jakkolwiek byłaby dokładna, nie będzie już stała ręka starożytnych, autentycznych mistrzów kamieniarzy, budowniczych!”. Cóż, może skazani jesteśmy na przemijanie „wielkości tego świata” i najwyższy kunszt konserwatorski temu nie zapobiegnie. Na pocieszenie pozostaje imperatyw walki o istnienie tego, co wartościowe.

Trzeci przykład pochodzi ze współczesnego życia potocznego. Nie dotyczy on historycznych zabytków, lecz obiektów i miejsc subiektywnie wartościowych. Ale to też są ludzkie wartości. Otóż w magazynie akademickim studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego (może wszakże nie tylko tego uniwersytetu) przeczytałem swego czasu wywiad ze znanym telewizyjnym komentatorem sportowym Przemysławem Babiarzem. Redaktor Babiarz jest z wykształcenia aktorem, absolwentem krakowskiej PWST. Mimo prób (np. w teatrze gdańskim) nie zrobił wielkiej kariery scenicznej. Za to stał się „gwiazdą” głównych

Wiadomości TVP. Z motywów wspomnieniowych i sentymentalnych aktor-redaktor Przemysław Babiarz przyjechał kiedyś do Krakowa, żeby odwiedzić miejsca niegdysiejszych studiów, m.in. akademik przy ulicy Pomorskiej. Oto jakie były jego wrażenia, które zakomunikował rozmówcy z magazynu studenckiego: „Mieszkanie w akademiku było jedną wielką rozrywką. Wspominam je z sentymentem. Niedawno zamówiłem sobie pokój w tym hotelu, spędziłem tam dwie noce, ale było to wyjątkowo smutne. Mimo że są to te same pokoje, to bez ludzi to już nie jest to samo miejsce. Stwierdziłem, że więcej tam nie pójdę”⁵. Moim zdaniem ta pozornie tylko „zwykła” wypowiedź, ale i autentyczne, głębokie doświadczenie wspomnieniowo-lokalizacyjne są niebanalnym (choć nie teoretycznym) przyczynkiem do „sporu o istnienie i tożsamość świata”.

*
* *

Czas na teorię, a przynajmniej próbę uogólnień tego przykładowego „konkretu”, który jednak będzie miał wartość poznawczą dopiero wtedy, gdy stanie się zapowiadającym „ucieleśnieniem” ogólniejszych prawidłowości czy zasad, najbardziej użytecznych w jakiejś profesjonalnej praktyce. Pamiętamy: „General should be embodied in the concrete!”. Na początek tej części rozważań oddajmy po raz trzeci głos klasykowi polskiej fenomenologii Romanowi Ingardenowi:

Niektórzy filozofowie wątpią czy *ta* tożsamość przedmiotu, którą teraz mamy omawiać, jest kategorią ściśle przedmiotową, a więc w samym przedmiocie ucieleśnioną, i uważają ją za pewne „subiektywne” ujęcie przedmiotu przez podmiot poznający. Pierwszy wyraził ten pogląd – o ile wiem – Dawid Hume. Za poglądem tym w nieco zmienionej postaci opowiadał się później Kant. Ale także ci, którzy przeciwstawiali się Kantowi, jak np. Bergson ze swoimi „schematami intelektualnymi” albo E. Mach, albo wreszcie z zupełnie innego punktu widzenia, A. Reinach, byli zdania, że tożsamość przedmiotu trwającego w czasie nie jest w nim immanentnie ucieleśniona, lecz w jakiś sposób i z jakichś powodów tylko narzucona przedmiotowi przez podmiot poznający⁶.

Przed chwilą oddałem głos w kwestii tożsamości obiektów trwających, istniejących w czasie Ingardenowi, zaś ten następnie oddał głos w tej samej kwestii plejadzie czołowych filozofów reprezentujących, co ciekawe, odmienne szkoły czy kierunki myślenia, ale mimo

⁵ WUJ, czerwiec 2013, s. 21.

⁶ R. Ingarden, *Spór o istnienie świata*, t. 2, cz. 1, dz. cyt., s. 422.

to wobec kluczowego rozpatrywanego tu problemu wyrażających zasadniczo to samo stanowisko. To jest silny argument za prawdziwością tego stanowiska stwierdzającego istotną rolę podmiotu, podmiotowości ludzkiej w determinowaniu tożsamości przedmiotów, więc w szczególności np. obiektów architektonicznych. Przy czym nie chodzi tu o popadanie w jakiś „subiektywizm”, lecz raczej o pojmowanie obiektywizmu jako *intersubiektywizmu*. Odnoszę przy tym wrażenie, sądząc po charakterze dalszych wywodów Ingardena, iż polski fenomenolog, być może pod wpływem lokalnego otoczenia naukowego, stara się zbyt upodobnić swoją ontologię fenomenologiczną do „twardo obiektywnych” nauk szczegółowych, zwłaszcza fizyki. To go może odróżniać od Husserla.

W tym miejscu, gdzie chcemy nastawić się merytorycznie na sam problem, bez kontekstów, pójdziemy tropem Hume’a, Kanta, Bergsona czy Reinacha: *bynajmniej nie „subiektywna”, lecz jak najbardziej obiektywna, choć przy rozumieniu obiektywności jako „intersubiektywności”, rola ludzkiego podmiotu w determinowaniu tożsamości obiektu istniejącego w czasie jest niewątpliwa!*

Mamy tu bez wątpienia do czynienia z jakąś społeczną, międzypodmiotową „grą” o obiektywność, o tożsamość obiektu, w szczególności obiektu architektonicznego, jakiejś budowli: pałacu, mostu, drogi czy ogrodu. Czy można pokusić się o jakiś „regulamin” tej gry – możliwy do przyjęcia dla wszystkich lub choćby prawie wszystkich zainteresowanych? Z filozoficznego czy fenomenologicznego punktu widzenia kluczowe jest – w rozpatrywanym tu problemie tożsamości czy identyfikacji, i w ogóle – pojęcie *intencjonalności*. Intencjonalność to skierowanie umysłu, świadomości transcendentalnej, logicznej, nie psychologicznej (!), ku przedmiotowi w sensie zrazu epistemologicznym, a następnie często i ontologicznym. W tym drugim przypadku mówimy o fenomenologicznej *konstytucji przedmiotu i sensu*. Jest to główna domena fenomenologii Husserla. Stosunkowo niedawno (lata 80. XX w.) Husserłowską teorię intencjonalności rozpatrywał z zupełnie innej perspektywy, logiczno-językowo-filozoficznej, fiński filozof i logik Jaakko Hintikka. Z mojego podoktorskiego rocznego pobytu we Francji, w roku akademickim 1984/1985, pamiętam, że ta perspektywa i interpretacja były bardzo „modne” w pewnych kręgach filozofów na uniwersytetach w Rennes i Paryżu. Nawet zachęcano mnie do badawczego zaangażowania się w tym kierunku. Ostatecznie logiczno-lingwistyczna perspektywa, proponowana zresztą nie tylko przez Hintikę, ale też np. francuskiego filozofa Francisca Jacquesa (autora obszer-

nego studium *Dialogiques*), wydała mi się zbyt odległa od potocznej intuicji związanej ze światem przedmiotowym i tegoż podmiotowym „brzegiem”. Jednak aby naświetlić przyczyny tej metodologicznej rezygnacji, przytoczmy kilka sformułowań Hintikki, które niewątpliwie zasługują na uwagę: „Wydaje się jednak, że Husserlowi daleko było do pełnej jasności w kwestiach, które poruszał” i „Husserl ma zatem w niebanalnym sensie rację, że konstytuowanie przedmiotów, których dotyczy nasze doświadczenie, nie jest automatyczne, ani też dane wraz z wrażeniami zmysłowymi”⁷. Hintikka, bazując na „logice możliwych światów” Kripkego, rozwija ontologię możliwych światów, zaś reinterpretując Husserla w tym paradygmacie pojęciowym, wytyka mu np., że jego przeciwstawienie materii i formy jest „nie tyle błędne, co niewłaściwie przeprowadzone. Materia nie jest w tym przypadku surowcem zmysłowym, ale zbiorem możliwych światów”⁸. To podejście jest bardziej szczegółowo rozwijane w eseju *Stopnie i wymiary intencjonalności*⁹. W bliskim zagadnieniu tożsamości problemie identyfikacji Hintikka, a także wspomniany wcześniej F. Jacques, posługują się dość technicznym pojęciem identyfikacji krzyżowej (porównawczej, *cross-identification*), polegającej, mówiąc w skrócie, na rozpoznawaniu i stwierdzeniu, które indywidua w jednym możliwym świecie są identyczne z którymi indywiduami w innym możliwym świecie. Teoretycznie rzecz biorąc, jest to głęboki poznawczo paradygmat pojęciowy, wszakże stosowanie go do konkretnych dziedzin przedmiotowych mogłoby okazać się karkołomne; no i znikome byłyby szanse zrozumienia go przez ludzi, którzy podejmują urzędowe decyzje w sprawie obiektów architektury i zabytków. Toteż, ze względów pragmatycznych, pozostaniemy przy tym jednym świecie możliwym, który jest nam najbliższy – doświadczanym świecie realnym. Zaś z pojęć czy terminów używanych przez Hintikkę jeden wydaje się bardzo sugestywny: „stabilność odniesienia przedmiotowego”. Przecież z czymś takim mamy do czynienia w przypadku naszej paradygmatycznej ulicy Sławkowskiej – jako właśnie przedmiotu stabilnego odniesienia.

Główny wniosek teoretyczny całych powyższych rozważań jest następujący: *U podstaw tożsamości publicznych obiektów architektury leży siła intencjonalności różnych społeczno-politycznych grup*

⁷ J. Hintikka, *Intencje intencjonalności* [w:] tegoż, *Eseje logiczno-filozoficzne*, przeł. A. Grobler, WN PWN, Warszawa 1992, s. 127 i 145 odpowiednio.

⁸ Tamże, s. 146.

⁹ Tamże, s. 259–293.

podmiotów. Innymi słowy, jest to swoista gra o miejsce tych czy innych wartości w bycie (społecznym, publicznym itp.). Wartościami są również najzwyczajniejsze interesy tych grup, choć są to „wartości” najniższego pułapu pewnej hierarchii. Tak oto socjologia przecina się z aksjologią.

Rzeczą pożądaną byłoby sformułowanie zestawu (kodeksu?) zasad, które mogłyby wprowadzić do tego rejestru stosunków społecznych czy relacji publicznych (urzędniczych) pewien ład socjoaksjologiczny, z zakresu etyki życia publicznego. Można by go zatytułować: *Ogólniejsze i bardziej szczegółowe zasady ochrony bytowej tożsamości wartościowych historycznie i kulturowo obiektów architektonicznych*. Niniejszym proponuję następujące punkty tego „kodeksu”:

1. Zasada poszanowania geodezyjnej tożsamości miejsca.
2. Postulat wykreowania ducha miejsca – w korespondencji z historią tego miejsca.
3. Zasada zachowania charakterystycznego kształtu i ewentualnie innych cech charakterystycznych.
4. Pewna doza tolerancji dla autorskiej, konserwatorskiej oryginalności przy aranżacji obiektów historycznych i zabytkowych (paradigmatyczny przypadek Karola Estreichera i Collegium Maius).
5. Zasada ciągłości: konieczność liczenia się z tym, co o obiekcie sądziły poprzednie pokolenia.
6. Postulat inteligentnego wypełniania braków ciągłości.
7. Postulat liczenia się z opinią współczesnej społeczności mieszkańców.
8. Postulat adekwatności (z punktu widzenia wzmacniania ducha miejsca) użytkowników obiektu historycznego.

Każdy z powyższych punktów mógłby być opatrzony obszernym komentarzem, nie będę wszakże tego robił, żeby zachować ogólny charakter tego zestawu zasad i postulatów. Może poza punktem 7. Wskazane, w związku z aspektem akceptacji społecznej, byłyby możliwie systematyczne badania socjologiczne, jak np. w studium krakowskiego socjologa Andrzeja Szumakowicza *Kraków w świadomości jego młodych mieszkańców*¹⁰. Tego typu badania powinny być sukce-

¹⁰ A. Szumakowicz, *Kraków w świadomości jego młodych mieszkańców*, Prace Komisji Socjologicznej PAN, t. 49, Ossolineum, Wrocław 1986, 155 s., czy tegoż autora: *Poczucie więzi z Krakowem wśród młodzieży szkół średnich*, „Kultura i Społeczeństwo” 1983, nr 2, s. 153–169.

sywnie ponawiane i aktualizowane, pełniąc funkcję swego rodzaju „socjologicznego barometru”. Zaś z najnowszej historii architektonicznej Krakowa warto zwrócić uwagę na spory związane z egzystencją i tożsamością takich wielkich obiektów miasta jak hotel „Forum” nad Wisłą (według projektu Janusza Ingardena) czy hotel „Cracovia” (według projektu Witolda Cęckiewicza). Na temat tego drugiego wypowiadał się w mediach pewien profesor filozofii czy socjologii słowami: „[...] sprawę zachowania czy przebudowy hotelu «Cracovia» powinni rozstrzygnąć specjaliści”. Otóż uważam, że jest to stanowisko błędne i niezwykle szkodliwe, osłabiające, czy nawet zrywające, więź społeczną między miastem a jego mieszkańcami. Losy architektoniczne znaczących dla miasta obiektów powinny być rozstrzygane w drodze referendów. Rola specjalistów jest ewidentnie następcza.

Na koniec uwaga ogólnofenomenologiczna. Wszystkie powyższe aplikacje z zakresu, powiedzmy, ontologii obiektu architektonicznego bazują na pojęciach intencji, intencjonalności oraz *siły intencji*. Dla zaakcentowania istotnego momentu „siły” przytoczę na sam koniec rozważań słowa Romana Ingardena z jego słynnego eseju *Człowiek i czas*:

Jestem siłą, która raz w świat sobie obcy rzucona, świat ten sobie przyswaja i ponad to, co zastaje, nowe – dla swego życia niezbędne – dzieła wytwarza. Jestem siłą, która chce się utrwalić – w sobie, w swym dziele [...]. Jestem siłą [...]. Jestem siłą [...] [parokrotne powtórzenie frazy! – E. Sz.]¹¹.

Chciałbym dodać tylko, iż owa *siła*, „którą jestem”, może się niewątpliwie odnosić do dzieła będącego wartościowym historycznie i kulturowo obiektem architektonicznym, a zarazem jest to *siła konstytuująca w istnieniu*.

¹¹ R. Ingarden, *Książeczka o człowieku*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1987, s. 68.

THE PHENOMENOLOGY OF ARCHITECTURE

Summary

The aim of this article is to bring theoretical philosophy, phenomenology, closer to some areas and problems of human, social, and cultural life. The last of these includes architecture and the preservation of buildings and areas of special historical and cultural value. Roman Ingarden considered architecture in two places in his works. The first is in an aesthetic context. The second is a purely ontological context: the problem of the identity of objects existing in time, which he considers in his *The Dispute on the Existence of the World*. The article intends to show that Ingarden's ontological conceptual framework is very close to the practice of architects and monument conservators. The central term proposed is „the strength of intentionality”, which involves not only the activity of specialists, but also of that of the community. The role of sociological research on the subject of social links is especially stressed. In this way sociology overlaps with axiology.

Eugeniusz Szumakowicz